Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 12. Leszno, dnia 22. Września 1838.



Widok zamku Val w Tyrolu. *)

Z moich wspomnień.

W roku 1832, w Wrześniu, wybrałem się z Monachium z trzema towarzyszami, na pieszą podróż do Tyrolu; a że o kilka godzin za Monachium już się zaczynają Alpy, przeto z miejsca ruszyliśmy piechotą. Ochoczo wybiegłszy z miasta, szybkim postępując krokiem,

*) Zamek Val położony w pięknéj równinie Meranu, wznoszący dumne czoło nad nurtami Adygi, dziki przechodniom przedstawia widok. Była to w wiekach średnich niezdobyta twierdza. Tymczasem minęły czasy rycerstwa: zamek przyjął załogę, a po udoskonaleniu sztuki wojennéj opuszczony, zamienił się w ruinę. Zamek ten miany długo za palladium niepodległości Tyrolczyków, tak jest szanowany w Tyrolu, jak kaplica Tella w Szwajcaryi, bo z nim wiążą się najdawniejsze miłe wspomnienia kraju.

wnet ubiegliśmy kilka godzin drogi, ale również prędko i sił do dalszego pochodu zabrakło. Spoczęliśmy w lesie, pod cieniem rozłożystego buku, co różne swe korzenie aż pomiędzy kamienie, niedaleko ztamtąd przechodzącéj niegdyś rzymskiéj drogi, zapuścił. Droga ta wiodła z Salzburga do staréj Augusty; dzisiaj zarosła lasem i zaledwo ją rozeznać można, po wązkiéj, nieco wyniesionéj grobelce. Na tym odwiecznym *Makadamie*, gdzie niegdyś toczyły się rydwany dumnych władzców świata, dzisiaj tylko, w cieniu nizkich gałęzi, czasem lis sznurkuje; ale świat umie zapominać: to jego cnotą, a nie występkiem. Przypadek nadarzył nam wózek jakiegoś przekupnia; a że tylko jedno miejsce w nim było, tylko czwarty nasz towarzysz, Francuz, bynajmniéj się o innych nie troszcząc, pojechał; z nas pozostałych żaden dwóch drugich odstąpić nie chciał; Francuzowi zaś naprzód o siebie chodziło. Puściliśmy się trzéj piechotą, aż minąwszy piękne brzegi jeziora Wurm, dogonił nas próżny wóz i na nocleg do Werlheim zabrał. Nazajutrz trzeba było zwiedzić Peissenberg, w bawarskim Rigi zwany; ale jakież było nasze zadziwienie, kiedy wszedłszy na czubek góry, ujrzeliśmy tylko kilkanaście pagórków, a pomiędzy niemi tyleż prawie jezior i prozaiczny widok nieprzejrzanych lasów: chyba miłość własna Münchenczyków, takie porównanie zrobić mogła. W południe, oglądaliśmy w Steingaden groby potomków Welfa, xięcia bawarskiego; a późniéj przebywszy bystry Lech, stanęliśmy wieczorem w Fuessen. Fuessen strzeże wejścia w wielkie już tyrolskie Alpy przez wąwoz, którym Lech wypływa; dwie, na kilka tysięcy stóp wyniosłe i obnażone z ciemnego granitu skały, wznoszą się po obu stronach ujścia rzeki; naprzeciw nich zamek i miasto, obwiedzione murem, na skalistym pagórku; naokoło zaś na kilku mniejszych wzgórzach, porozrzucane zamki, przypomniały mi niegdyś fuessenskiemu Komesowi do pomocy straży dodanych wassali. Ciekawym do widzenia w Fuessen jest portret Karóla Wielkiego, wraz z olbrzymią miarą jego wysokości, i napisem: „*Justa S. Caroli magni R. J. effiguratio*. Portret ten lud tameczny bardzo czci i za prawdziwy, z natury robiony, portret Karóla W. uważa, Z Fuessen wyszedłszy rano (bo tu już niezmierne poczynają się góry) przebyliśmy przy wejściu w Tyrol, austryacką komorę, a minąwszy małą mieścinę Reutche, w gruzach leżącą, fórteczkę Klause, co niegdyś przejścia w Alpy broniła, nareszcie piękną wioskę Heiterwang nad jeziorem Plan, stanęliśmy o półodwieczerz w Leermoos. Droga, cośmy przebyli, wiodła doliną, po któréj, jak zwykle w górach, kręty wije się strumyk; z obu stron zaś wznoszą się poprzerywane wąwozami, lasami porosłe skały. W Leermoos dolina się kończy; z trzech stron wznoszą się strome i niezmierne mury granitu, obnażonego nie tylko z drzew, ale nawet z pnących się roślin; widok tak zimnéj obumarłéj przyrody, nieznośne dla oka takie nadzwyczajne ogromy, dreszczem przejmują, fizycznym ciężarem prawie gniotą duszę widza. A przecięż czyste tam i zdrowe powietrze, pełnemi piersiami zaczerpnąć go można w dolinie; czemuż więc tak tam duszno? tak nieznośno? bo tylko w wolności, tylko w wdzięcznych i pięknych przestworach, miłe i błogie życie człowiekowi. Ogromny ciężar, siła, są przeciwnikami wolności; ona tylko wśród pięknych kształtów rozwijać się może; nawet w naturze nieprzyjemne wszystko, co potwórcze, co obumarłe. Z Leermoos, trzeba było przejść przez górę, aby w nową dostać się dolinę: chociaż z wieczora, puściliśmy się wyraźną ściezką, a kiedy się ściemniło i xiężyc za wyniosłe głowy granitów, w czarnych obłoków szatach, krył swoje świetne oblicze, tylko po białości na proch zdeptanego głazu, kroki kierować można było, albo kierunek ścieżki uchwycić w pamięci, kiedy kochanek nocy przez rozpadliny skał, czasami w zielonych falach głębokich jeziór się przeglądał, i jasny swój wzrok rzucił przed stopy nasze, jakoby śmiertelnych z niebezpieczeństwa chciał wywieść. W późnéj porze, bo już po północy, zaledwo zdołaliśmy się dostukać w karczmie, *auf dem Fern* zwanéj. Ztamtąd na Nasserert do Imbst, krętemi ścieżkami wiedzie droga. W Nasserert stał na warcie Karyntczyk, w kafowéj kurtce, obciągłych niebieskich spodniach i sznurowanych ciżmach; sądziłem, że jakieś słowiańskie słówko usłyszę; lecz ani sposób było i wyrazu zrozumieć. Z Imbst ruszyliśmy już wózkiem; czterech nas, jeden mały ciągnął konik. Śmiały góral, prawie cwałem pędził z góry ku Innowi, zgrabnie kierując koniem, aby wózek się nie zatoczył; on przyśpiewywał, nam włosy stały na głowie z strachu; ponad przepaściami, coraz żwawiéj ruszał, jakby chciał uskoczyć niebezpieczeństwu.

W głębi doliny, pożegnaliśmy naszego woźnicę, a przebywszy Inn, który pomiędzy dwoma murami skał, wymył swe koryto, i zielono-szkławą wstęgą swych wód, gwałtownie prute łono niebotycznych granitów, stanęliśmy o zachodzie słońca w Santens. Trzody siwego bydła z owemi czysto i tak daleko w górach brzmiącémi dzwonkami u szyi, powracały na nocną pastwę w góry; w wszystkich gospodach krzątano się koło wieczerzy; nagle odgłos dzwonka na Anioł Pański wszystkich mieszkańców wioski wywołał; twarzą ku wschodowi zwróceni, na kolana popadali, aby wieczorne odmówić modlitwy. Nabożeństwo i bogobojność Tyrolczyków, są rozczulające; zdaje się, iż zepsuciu niepodobna przez takie przedrzeć się góry; iż człowiek, wśród dzikiéj żyjący przyrody, na małém przestawać zmuszony, w prostocie obyczajów, łatwiéj cnotliwym być może. Z Santens droga wiedzie doliną Oezthal na Umhausen, do Solden; pod Umhau-

sen oglądaliśmy wodospad nadzwyczajnéj wielkości, większy, niż w Adersbach, niż Elbfall, w górach szląskich. O kwadrans drogi słychać już było szum, jakoby gwar ludu z wielkiego miasta; a o kroków może sto, rosi już drobnemi kroplami, jakoby gradem kryształów o piersi głazu rozpryskujący się strumyk; z bliska, z pod skalistego podcienia, podziwiać można bez szwanku to przerażające, a tak piękne zjawisko przyrody. Takto i z wezbraném igrzyskiem namiętności ludzkich w gwałtownych chwilach. Z daleka ryk burzy cię tylko dójdzie; naprzeciw niéj, choćbyś najdaléj stanął, dosięgnie cię swym pociskiem; ale niechaj cię z sobą porwie; jeżeli twoja dusza nie twardszą i ściślejszą od tego dna z granitu, rozprysniesz się w tysiąc atomów i zginiesz z tym potokiem, co w téj kamiennéj czarze przezroczystéj, w końcu w mętny wylewa się strumyk. W Solden kończy się dolina Oezthal; zagradza ją śnieżny szczyt lodownika Oezthaler Ferner *) zwanego. Za naszém przybyciem, zachodzące słońce zrumieniło jego białe lica, wieczorne zorze powlekły go złotogłowem, aż nareszcie w cieniach nocy zbladł na powrót śmiertelnie kochanek obłoków. Z Solden do Meranu, na drugi kraniec Tyrolu, wiedzie droga przez wysokie jarzmo gór, Timbli zwane. Po kilku godzinach mozolnéj pracy, po kamienistéj, mchem porosłéj ścieszce, dostaliśmy się na sam grzbiet pasma. O tysiąc stóp może nad nami błyszczał w słońcu, jakoby z brylantów rznięty czubek góry, a za nim rozlewało się nieprzejrzane okiem morze, mętno zielonych lodów. Nigdy na nim nie zaszeleści ruch wiosła, żadną falą nie odetchną jego martwe piersi; bo wieczna cięży kara na tych wyniosłych synach ziemi, granitach, za to, iż tak wysoko śmieli podnieść czoła; największa roskosz ich matki na zawsze im jest odjętą. Nigdy nic w ich łonie nie będzie poczętém, żadna roślina nie uwieńczy ich skroni; wiecznie więc, wiecznie za swoją dumę niepłodne, jeżeli ziemia matka, przebaczenia nie uprosi i wrzącą lawą swego łona nie stopi tych lodowatych więzów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Puławy.

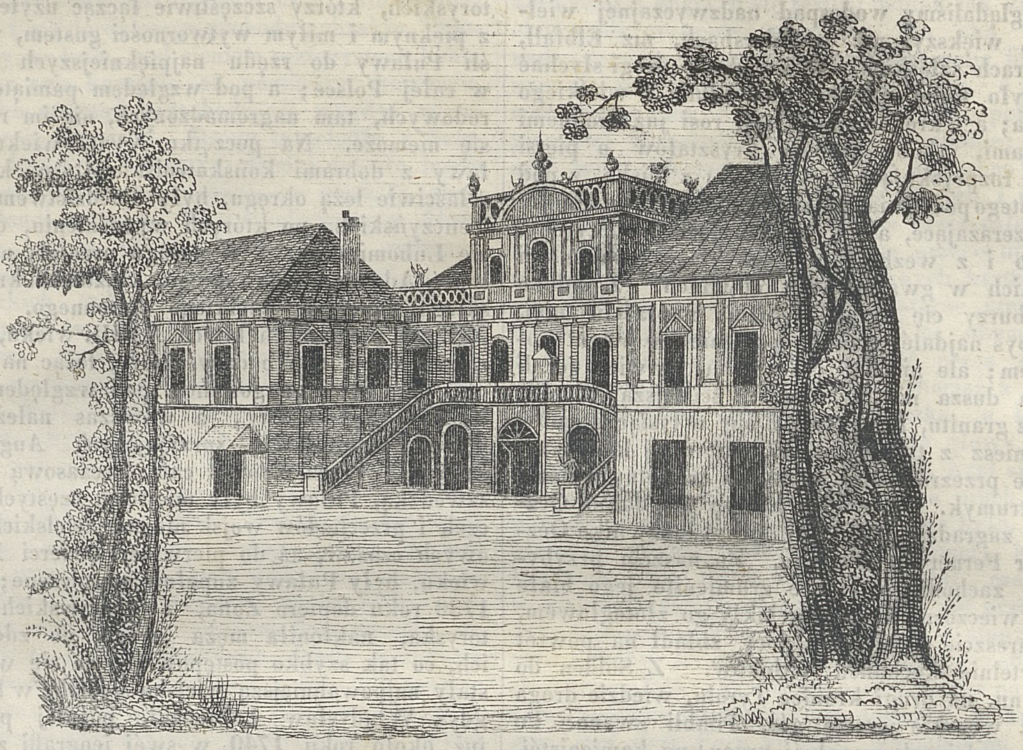
Puławy, znaczna włość we województwie lubelskiém, powiecie kazimierskim, 16 mil od Warszawy, 6 od Lublina, na wielkim gościńcu, w położeniu przyrody najpiękniejszém, nie daleko starożytnego Kazimierza ze swoim zamkiem i spichlerzami (zobacz P. L. Nr. 4. r. 5.) i miasta Janowca zobaczP. L. Nr. 6. r. 2.), także zeswym zamkiem.

Okolica Puław, jest klassyczną w dziejach naszego narodu. Są dziedzictwem domu Czartoryskich, którzy szczęśliwie łącząc użyteczność z pięknym i miłym wytworności gustem, wznieśli Puławy do rzędu najpiękniejszych miejsc w całéj Polsce; a pod względem pamiątek narodowych, tam nagromadzonych, nic im równać się niemoże. Na początku XVII. wieku, Puławy z dobrami końskowolskiemi, w których właściwie leżą okręgu, były dziedzictwem domu Tęczyńskich, po których wygaśnieniu, dostały się Lubomirskim, a w posagu przeszły na własność Adama Sieniawskiego, kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego. Karól XII., w pierwszych latach XVIII. wieku, spalił zamek stary, tam będący, który, leżąc na wzgórzu, przy wielkim gościńcu, pod względem wojskowym był ważny, a wówczas należał do domu Sieniawskich, sprzyjających Augustowi królowi. Przez nieomal całą ówczasową wojnę szwedzką, Puławy były miejscem częstych utarczek i przechodów wojsk nieprzyjacielskich. Od owych czasów, aż do pierwszéj ćwierci XVIII. wieku, były Puławy zupełnie opuszczone; około 1730 roku dopiero Zofia, z Sieniawskich Czartoryska, nakłoniła męża swego do zdobienia ich, co tak szybko postępowało, że się wkrótce stały najpowabniejszą wiejską siedzibą w Polsce; gdyż Władysław Łubieński, późniéj prymas, już około roku 1740 w swéj jeografii z wielkiemi pochwałami o nich wspomina. Pałac i ogród przyozdobiła wspomniona księżna jak najwytworniéj, podług ówczasowego gustu francuzkiego: jedynie ogromne dostatki jéj męża, xięcia wojewody ruskiego, cudów takich naówczas w kraju naszym dokazać mogły. Dopiero jednak syn wojewody ruskiego, xiąże Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich, feldmarszałek wojsk austryackich, i małżonka jego Izabella, z Flemingów, wznieśli Puławy do rzędu najprzepyszniejszych siedlisk wiejskich w Europie.

Aż do 1787 roku mało odmieniono w Puławach, dopiero podróż księżnéj do Anglii zwróciła jéj uwagę na ozdoby, w tym kraju wynalezione i wykształcone.

Wówczas pałac, na rycinie tu przedstawiony, został upiększonym i rozszerzonym, nazwany wielkim; celuje obszernością i trwałością, zawiera okazałą salę i mnóstwo pięknych pokojów, między któremi pokoje księżnéj nazwać można było raczéj muzeum, niż mieszkalnemi komnaty, pokoje zaś xięcia celowały skromnością szlachetną. Cały gmach jest imponujący, pomimo, że z powierzchowności nie jest zupełnie regularnéj budowy i nie ma wiele architektonicznych ozdób. Z galeryi pałacu jest widok jeden z najbardziéj czarujących; miasto Kazimierz, dzieło i miejsce pobytu wielkiego króla, przybytek niegdyś ogromnego polskiego handlu; zamek Janowiec, siedlisko Firlejów, Lubomirskich, Tarłów; Gołąb, pamiętny konfederacyą na stronę Michała króla; wszystko jedném rzutem oka oglądając, wzniosłe budzi w nas przypomnienia przeszłości,

*) Ferner znaczy w Tyrolu to samo, co w Szwajcaryi Gletscher.



Pałac w Puławach.

gorzkie teraźniejszości uczucia, a głębokie zaciekanie się w przyszłości! Na pałacu położony jest od strony dziedzińca napis: *„Illa nobis haec otia fecit,"* myśl naśladowana z Wirgiliusza, zwrocona do księżnéj Zofii z Sieniawskich Czartoryskiéj.

Od pałacu idąc wśród najpiękniejszych krzewów, stoi na końcu szerokiéj i długiéj ulicy świątynia Sybilli, gmach okazały i kształtny, na wzór tyburtyńskiéj Sybilli nad Teweroną we Włoszech, wystawiony ręką księżnéj Izabelli Czartoryskiéj na brzegu góry, ponad Lachą od Wisły, uwieńczony gęstemi drzewami; zdaje się panować nad całą okolicą; na czele nosi napis złotemi głoskami: *„Przeszłość przyszłości."* Przesklepiona jest na dolny i górny przybytek; do pierwszego wchodzi się od strony Lachy, skrytemi wązkiemi schodami; wnijście to tchnie smutkiem i ma coś w sobie tajemniczego. Dolny ten przybytek, lubo na ścianach mieści zbroje i tarcze dawnych naszych rycerzy, zdaje się być jednak poświęcony pamiątkom pogrobowéj naszéj chwały. Zawiera między innemi:

Puklerze z napisami, uwieczniającemi męstwo wojsk polskich, pomniki: xięcia Józefa Poniatowskiego i xięcia Adama Czartoryskiego, niegdyś małżonka założycielki Sybilli, dobroczyńcy ludzkości, mecenasa polskiego i miłośnika muz.

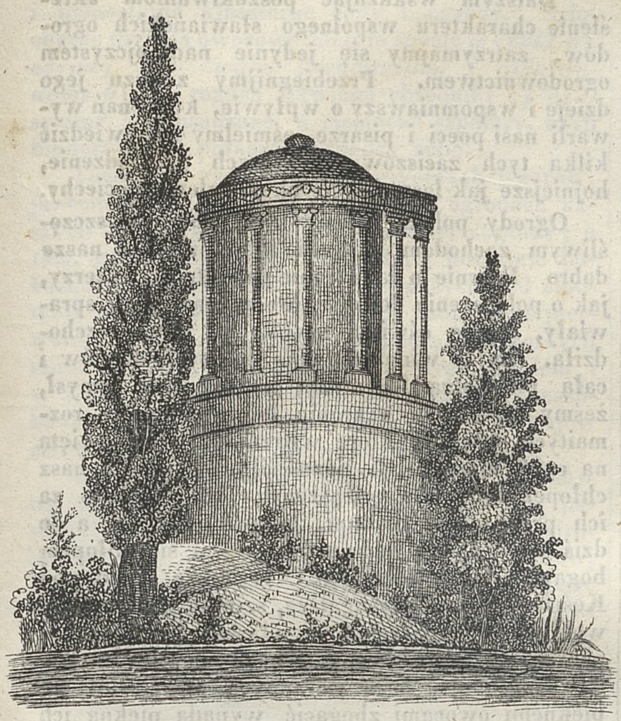
Górny przybytek ma wchód widoczny i wspaniały, bogatszy jest w światło i ozdoby. Oświeca go kopuła szklanna z jednéj sztuki, dar cesarza Alexandra. Wewnętrzny kształt świątyni zupełnie okrągły; wprost wnijścia, w dosyć głębokiéj niży, na pół zakrytéj zasłoną z ponsowego aksamitu z złotą frandzlą, stoją chorągwie, na nieprzyjacielu zdobyte, oręże, laski marszałkowskie, pastorały, dzidy, miecze, pałasze, puklerze, pamiątki najznakomitszych mężów, najsławniejszych bitew. Pod temi rycerskiemi trofeami, na podstawie granitowéj, pokrytéj kosztowną zasłoną, stoi hebanowa szkatuła, złotem okuta; na wierzchu jéj brylantami wysadzony napis: *„Pamiątki polskie,"* po bokach: *„zebrała Izabella Czartoryska r. 1800."*

Na ścianach przybytku znaki zwycięzkie rycerzy najznakomitszych rodzin polskich z napisami; w półkręgu z obu stron ustawione są szafy, gładko wyrobione, w troistych przedziałach. Na tych szafach stoją puhary, szkatułki rozmaitego kształtu, grobowce niektórych sławniejszych królów i mężów. W tym panteonie, westminstrze polskim, między drogiemi klejnotami, widzieć się dają kości Bolesława Chrobrego, w białym pomniku, zachowane w szklannéj puszce.

Książka do modlitwy Władysława II.

Koralowe popiersie Bolesława Wstydliwego, na srebrnéj tabliczce.

Pieczęć Przemysława, wyryta na pamiątkę sklejenia w jedno ciało rozerwanéj, w czasie zatargów wojennych po zejściu Bolesława IIIgo, Polski.



Świątynia Sybilli.

Pałasz czarny Władysława Łokietka, z żelaznemi skówkami.

Tarcza Floryana Szarego, przez Władysława IV. na pobojowisku laską i łzami królewskiemi uczczonego.

Stół do pisania Kazimierza W., przedziwnéj prostoty.

Tabakierka czarna Wierzynka,

Trzewik Jadwigi królowéj, karmazynowy, z krzyżem z złotego galonu. Zabytek jéj koronacyjnego stroju.

Chorągiew, pod którą na czele rycerstwa Ruś od Węgrów roku 1390 oswobodziła.

Łańcuch złoty, ozdoba rektorów akademii krakowskiéj w ostatnich czasach, przez Jana Śniadeckiego złożony w świątyni Sybilli.

Dwa miecze krzyżackie, Władysławowi Jagielle, pod Grunwaldem od w. mistrza na wzgardę przysłane.

Chorągiew, w téj walce na zakonie krzyżackim zdobyta.

Szkatuła z zwierciadłem, puhar i laska pasterska, kardynała Zbigniewa Oleśnickiego.

Popioły nieśmiertelnego Kopernika, w czarnym pomniku i wizerunek tegoż.

Włosy, łańcuch, pierścień i cząstka zbroi Zygmunta starego.

Wachlarz Bony królowéj.

Pięć strzał i szczątek zegaru Jana Tarnowskiego.

Szpada, chorągiew i kawałek szaty Zygmunta Augusta, jego także obraz i książka ulubiona z wizerunkami Barbary i Izabelli, którą zawsze przy sobie nosił.

Sztuciec koralowy i łyżka konchowa, pamiątki po cnotliwéj Barbarze.

Głowa Jana Kochanowskiego, w marmurowym pomniku. Wieńczy grobowiec poety, lira koralowa z brylantowym wężem i złotemi strónami, zawieszona ręką tkliwéj autorki Malwiny.

Szabla Stefana Batorego, przez Grzegorza XIII. poświęcona i w upominku królowi przysłana. Tegoż popiersie i obraz.

Łańcuch złoty, oprawa srebrna z książki i szczątki trumny Anny Jagielonki.

Kości W. Zamojskiego, w czarnym mozajkowym pomniku; jego także buława hetmańska, odrobina szaty, księga do modlitwy i tacka z pod lulki.

Książka do nabożeństwa, Samuela Zborowskiego.

Obraz Zygmunta III., kawałek szaty i zegarek własnéj jego roboty.

Perły, łańcuch, szczątki z obicia trumny, po dwóch żonach Zygmunta III., Annie i Konstancyi.

Wizerunek x. Skargi Pawęskiego.

Skrzypce Lwa Sapiehy i buzdygan Jana tegoż nazwiska; pierwszy z nich uczczony pomnikiem.

Godło zwycięzkie Tenczyńskich.

Buzdygan Zebrzydowskiego.

Głowa Żółkiewskiego hetmana (w Stambule po okropnéj przygodzie cecorskiéj z tryumfem po ulicach oprowadzana, a późniéj za 200,000 złotych wykupiona) w białym mozajkowym grobowcu; jego także suknia, obraz i inne zabytki.

Tarcza, pierścień i wizerunek Chodkiewicza.

Pierścień, łańcuch od orderu złotego runa, książka do modlitwy i kawałek szaty Władysława IV.

Wizerunek Sarbiewskiego, poety.

Szabla, kałamarz i inne pamiątki po Jerzym Ossolińskim.

Jana Kazimierza kilka zabytków.

Kość z ręki walecznego Stefana Czarnieckiego, w marmurowym pomniku: jego także burka, tarcza, buława i czara kryształowa; (dar króla duńskiego, po zwycięztwie nad Szwedami.)

Miecz i roztruchan Bohdana Chmielnickiego.

Szaty, koronki i łańcuch Maryi Ludwiki, (żony Władysława IV. a następnie Jana Kazimierza.)

Buława i łuk z dwiema strzały, pamiątka domu Michała Korybuta.

Chorągwie, tarcze, kordy, puhary, sprzęty, na Turkach zdobyte przez Jana Sobieskiego.

Zegarek kornalinowy, Maryi Kazimiry (żony Jana III.)

Wizerunek Jakóba Sobieskiego, królewicza.

Buława Jabłonowskiego, hetmana.

Chorągiew szwedzka, na hufcach Karola XII. zdobyta.

Szabla, pudełko i dwa obrazy Stanisława Leszczyńskiego.

Lira Maryi Leszczyńskiéj, (córy Stanisława Leszczyńskiego K. P.) królowéj francuzkiéj.

Obraz i szkatuła Augusta III.

Suknia Stanisława Augusta Poniatowskiego, w któréj od konfederatów był uprowadzony. Tegóż bót, podany mu od jednego z konfederatów w miejsce trzewika, który w tym razie był zgubił.

Wazon z kości słoniowéj i hebanu, toczony ręką bohatera Kościuszki w tęsknotach niewoli.

Sprzęty wojenne i pamiątki z ostatnich czasów polskich.

Łańcuch złoty z krzyżem kardynała Hoziusza.

Rękopisma wielu sławnych w narodzie naszym mężów dawniéj się w Sybilli mieściły, lecz późniéj przeniesione i umieszczone zostały w gmachu, archiwum zwanym, na rycinie daléj wystawionym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ułamek o piękném ogrodownictwie polsk.

Wstęp.

Lecz jakież są ojczyste ogrody kraju, który od pola wziął swe nazwisko? nie szukaj ich tyle, jak w innych żyzniejszych, albo górzystych; nie sprzyja im ani miejscowość płaska i skąpo w wodę opatrzona, ani charakter mieszkańców otwarty i nieumiejący się zamknąć w wykwintniéjszém samolubstwie Anglika; daleki od zimno-krwistego splinu, żyje on tylko towarzyskim udziałem, wszystkich i każdego cierpienia. Jemu ta tylko przyjemność staje się roskoszą, którą podzielił z towarzyszem; towarzysz współ-cierpień koi rany, chroni od zimnego splinu gorącą swoją przyjaźnią, a zasępionego ziomka wiedzie na pola, na pola codziennéj pracy, pola tkliwéj pamięci i sławy. Człowiek, co tak żyje, co lubi oddychać piersiami całemi, nie mógł pokochać owych miłych, lecz samotnych, zamkniętych bretońskich ogrodów; nie zdoła on sam w sobie trawić boleści; nie ma on nudów przesyconéj dumy, szukającéj schronienia śród niezmąconéj natury; nie ma Ossyana, aby z nim dumał, przechadzając się łączną ścieżką środ ciemnych gajów ogrodu. Jego Kochanowski wesołą pieśń nucił: on się cieszy słońcem i tém czystém nie mglistém niebem, tém niezmierzoném polem, tą równiną przestworną, a gładką, jak puklerz bojowy, która mu za obcy ocean stanie, i na któréj z żywiołami walczy.

Tak to charakter każdego narodu odmienne życie budzi; nie sądź, że ten, co umie stroić, ten umie i kochać rodzinną strzechę; kocha ją, lecz nieznajdzie w niéj samej tyle zadowolnienia, co w niéj mają samolubcy Anglicy, lub Holendrzy. Ów potomek koczujących Scytów, lubi otwarte pola, gdzie sam dla drugich pracuje, a nie mniéj rodzica szanuje, i tyle szczęścia rodzinnego używa, jak ów ziomek innych krajów, który skwapliwiéj ozdobę zacisza domowego nad wszystko przekłada.

Dalszym wskazując poszukiwaniom skreślenie charakteru wspólnego sławiańskich ogrodów, zatrzymajmy się jedynie nad ojczystém ogrodownictwem. Przebiegnijmy z razu jego dzieje i wspomniawszy o wpływie, który nań wywarli nasi poeci i pisarze, ośmielmy się zwiedzić kilka tych zaciszów, w których przyrodzenie, hojniejsze jak losy, błogie na nas zlewa pociechy.

Ogrody polskie winny swój początek szczęśliwym zachodom naszych klasztorów, o nasze dobro. Równie o łagodzenie namiętności rycerzy, jak o polepszenie dobra chłopów pamiętne, sprawiały, że się oświata szybko po kraju rozchodziła. Im to winniśmy opis dawnych dziejów i całą pierwotną literaturę; im ten nasz umysł, żeśmy umieli się uchronić lub wybrnąć z rozmaitych błędów, które wstrząsały wiarę świętą na całéj niemal kuli ziemskiéj; im winien nasz chłopek byt swój polepszony; szli bowiem za ich przykładem biskupi, kanonicy i t. d., a do dziś dnia chłop biskupizny, mieni się chłopem bogatym i niepodległym. Wszakże dotąd pod Kościanem wieś najbogatsza, szczyci się z usamowolnienia i obdarzenia jéj własnością, przez kanonika gnieźnieńskiego, już temu pono lat trzysta. Nie mogło ujść oczu starannych klasztorów, że pięknemi owocami zbogacić wypada piękną ich ojczyznę. Dawniéj rosły po lasach tylko kwaśne płonki, mdławe przałki i odleżałki — obok miodu jedyne przysmaczki bitnych Sarmatów.

Lecz już w pierwszéj połowie XII. wieku zaczęto szczepić w naszym kraju lepsze owoce. Pierwsi wprowadzili je Benedyktyni z Kluniaku do Tyńca. Kazimierz I. sprowadził Benedyktynów i dał im przywiléj na opactwo i 100 wsi i 5 miast. Cichowski in alloquiis osiecensibus o tych jabłkach i gruszach, sprowadzonych przez nich w kraj, z Sandomirza do Mazowsza i Prus rozsełanych, wspomina za panowania Kazimierza Mnicha. Najszanowniejszy pomiędzy klasztorami dobrze się zasłużył naszéj ojczyznie: z czcią wspominać go wypada: on to rozpowszechniał świętą religiję, a przytém szerzył materyalną cywilizacyą, nie tylko u nas, ale i po całéj północy. Jego święty zakładnik wyrzekł najpierwszy, że praca ręczna jest chlubą i modlitwą człowieka: on ją nakazał swym uczniom, już kilkanaście wieków przed tym reformatorem spółczesnym, który stanął w obronie pracy i w niéj najwyższą godność człowieka ukazał. Pracowity zakon Benedyktynów obdarzył nas, jak rzekłem, pięknemi owocami Francyi: wkrótce z Tyńca przeniesiono owocowe szczepy do Sandomierza, a późniéj po całéj Polsce. Wstąpił w jego ślady zakon Cystersów: Za panowania Bolesława, xiążęcia wrocławskiego (1200), sprowadzili Cystersi do klasztoru lubińskiego rodzaj jabłek, pod imieniem *daportów, oportów* znany: o których Kromer i Bielski wspominają, a które rajskiemi jabłkami zowie Marcin z Urzędowa. Od owego

czasu powstały po Polsce mnogie, schludne, obfite i jednostajne klasztorne sady i ogrody. Szlachetne drzewa owocowe zaczęto sadzić *w cynki a*), *ogrody zaś zwano wirydarzami i dziardynami b*), po rogach stawiano chłodniki *c*) dzilsyminą *d*) obsadzane, a ciemnemi szpalery, czyli binderzykami połączone między sobą.

Tenże sam gust, podług pierwotnych wzorów, przechowany, pozostał po mnogich ogrodach naszych zakonów, aż do ich smutnéj zagłady; a tam, gdzie jeszcze nie nastąpiła, i pozostaje pobożne schronienie dla ludzi cierpiących nad smutném doświadczeniem ludzkości; tam jescze pierwotne, proste zatrudnienia zajmują klasztornych mieszkańców. Jeszcze są w krakowskiém i w Galicyi klasztory, które się szczycą z zasobnych ogrodów, i z tych lub owych rodzajów owoców, im szczególnie właściwych.

Mówiąc o szczęśliwym wpływie zakonów na ogrodownictwo, należy oddać najwięcéj pochwał OO. Jezuitom, których zakłady ogrodowcze zawsze były godne pięknych gmachów, któremi nasze miasta ustroili. Zakon ten mając pod swym dozorem szkólną młodzież, nietylko miłość głębokich umiejętności, ale i zamiłowanie kunsztów, pomiędzy innemi ogrodownictwa, umiał w niéj zaszczepiać.

Jemu to przypisać należy, że w całym kraju ogrody, na wzór klasztornych, pod zakładem dawnych uczniów konwiktu powstawały. Największy jednak popęd ogrodownictwu polskiemu nadała królowa Bona.

Początek pięknego ogrodownictwa w Polsce, poetyczniejszym jest, jak u innych narodów; nie powstał z zbytku mocarzy, ani też z żądzy wykwintnego pokarmu, lecz łączy się z romantyczną częścią naszych dziejów. Przy schyłku Piastów dynastyi, panował xiążę, który blaskiem swych czynów, nieledwo swe przodki zagasił: mąż ten równie dzielny, jak oni w czynach wojennych i w wszelkiéj sprawie ojczystéj, duszę miał tkliwą na wszelkie ludzkie uczucia i namiętności; poznał on dobrodziejstwo prawa, ustalił go w narodzie, on dzielił dolę kmiotka i byt jego poprawił; lecz nie umiał także poskromić miłości, którą uczuł na widok pięknéj Esterki. Miłość tę, jedyną plamę w jego dziejach, jedyną słabość wielkiéj jego duszy, ukrywał przed surowém okiem narodu; lecz kochance owéj wystawił łobzowski pałac i pierwsze w Polsce założył ogrody; tamto spędzał król chłopów chwile, wolne od trosków swego rządu, tam też początek ojczystego ogrodownictwa. Lecz nie tylko dla kochanki swéj zacny monarcha zakładał ogrody: ozdobił on także zamek krakowski pysznym zwierzyńcem, jako nam Bielski zaświadczył.

Największy jednak popęd ogrodownictwu polskiemu nadała królowa Bona: pani ta, która schyłek bitnéj dynastyi Jagiellonów tak smutnym okryła kirem, usiłowała nas oswoić z pięknemi sztukami swego kraju i z bezecnemi intrygami Sforzów. Ale naród zbyt drogo opłacił blask korzyści wysokiéj cywilizacyi: Bona zapomniana jako wskrzesicielka kunsztów i ogrodownictwa, żyje w pamięci ludu, jako okrutna macocha męczennicy, Barbary Radziwiłłównéj, z grozą odepchnięta od całéj Polski, skarb królewski z sobą uwiozła; zostawując nam niby na pamiątkę iabłka niezgody, rzuconego śród kraju, rozmaite owoce swéj ojczyzny *), a wąż jadowity, Sforzów godło, ukrył się wśród kwiatów Italii. Ileż to łez oblało te owoce, te próby obcéj cywilizacyi, która nam tyle zepsucia przywiodła. Nie raz to w dziejach widzimy, jak wąż taki wśród kwiatów się kryje, a stroskany historyk daremnie pyta i bada, czemu tyle złego niebiosa dozwalają!

a) Quincunx. *b*) Viridarium, jardin. *c*) Altany. *d*) Jasmin kalatoński.

*) Zamiast kwaśnych płonek i mdławych przałek, odleżałek, czy tam ulęgałek, tych łakoci starych Sarmatów, wprowadziła królowa Bona najsmaczniejsze owoce: bergamoty, winiowki, cukrówki i t. p.; prócz tego rozmaite kuchenne warzywa, włoszczyzną zwane: ztąd to powstało to stare, lecz dotąd używane przysłowie:

Selery, pory,
I kalafiory,
Któż to nie przyzna,
Że to włoszczyzna.

Józef Borusławski.

(Ciąg dalszy.)

Moja opiekunka, lubo już nie młoda, przecież jako wdowa i majętna, weszła w powtórne związki małżeńskie z hrabią Tarnowskim; a gdy po kilku miesiącach pożycia, okazało się, że zaszła w ciąży, radość nastąpiła tym większa, im mniéj spodziewaną była. Zaczęły się odwiedziny i zjazdy wielu przyjaciół i sąsiadów, a w ich liczbie zawitała pani miecznikowa Humiecka. Była to jedna ze znakomitych i bogatych polskich magnatek; bawiła od niejakiego czasu w dobrach swoich, w bliskości hrabstwa Tarnowskich, bywając u nich, poznała mnie, i wzięła ją chęć niezmyślona zawiezienia mnie z sobą do Warszawy, gdzie zwykle mieszkała. Wypatrując oddawna pomyślnéj chwili do wyjednania u opiekunów moich odstąpienia mnie, wybrała tę, kiedy się nadzieją potomstwa cieszyli; a przedstawiwszy wymownie i zręcznie obojgu, jaki szkodliwy wpływ mieć może na ciężarną kobietę widok ustawiczny karła, otrzymała od nich żądane odstąpienie; pod warunkiem atoli, że jak najlepiéj obchodzić się będzie ze mną i los mi zapewni. **)

**) Z Rzewuskich Humiecka, miecznikowa koronna, głośną była w wielkim świecie polskim, z urody, majątku, gościnności i podróży do zagranicznych krajów. Słyszałam to od osób, które karła Borusławskiego w jéj domu widziały, jako lubiła go bardzo, W jéj pokoju bawialnym miał cały swój własny porządek, zastósowany do wzrostu, małą kanapkę, stoliki, stołeczki, bilarek i

Uwiadomiony o tym układzie, nie zmartwiłem się nim bynajmniéj; lubo wielce przywiązany do hrabiny Tarnowskiéj i do stron rodzinnych; byłem bardzo młody; wszelka zatém zmiana i nadzieja poznania świata, podobać mi się musiała.

Pani miecznikowa Humiecka zawiozła mnie naprzód do dóbr swoich na Podole, do Rychł, gdzie bawiła sześć miesięcy. Potém, zaniechawszy zamiaru udania się do Warszawy, umyśliła zwiedzić Niemcy i Francyą, a z wielką moją radością oświadczyła, że mnie weźmie z sobą.

Wyruszyliśmy z wielkim dworem, naprzód do Lwowa, a ztamtąd do Wiednia. Było to w roku 1755. Skorośmy przyjechali do stolicy austryackiéj, rozeszła się wieść o naszém przybyciu, i byliśmy odwiedzani i zapraszani z jak największą uprzejmością. Miałem nawet zaszczyt być przedstawionym cesarzowéj Maryi Teresie, która mi powiedziała łaskawie: *„jakobym przechodził to wszystko, cokolwiek o karłach słyszała, i był jedną z najosobliwszych rzeczy, „które jéj się widzieć zdarzyło."* — Monarchini owa była wtenczas w wojnie z królem pruskim, i zapytała mi się: „Coby myślano o nim „w Polsce, i co ja sam trzymam o tym królu?" „Niemam honoru znania go — odpowiedziałem „śmiało — wiém tylko, że gdybym był na jego „miejscu; nie wojny, ale łaski i przyjaźni żądał„bym od WCMości, i to u nóg jéj." Ta odpowiedź nieskończenie się podobała cesarzowéj; uściskała mnie, i winszowała pani miecznikowéj Humieckiéj tak miłego towarzysza podróży. — Innego razu, kiedym przed nią polskiego tańca wywijał, wzięła mnie na kolana, a całując kilkakrotnie, wypytywała się, jak czas pędzę w Wiedniu, i czym już widział jego osobliwości. — „Widziałem wiele rzeczy podziwienia godnych" odparłem — „ale nic równego temu, co w téj chwili widzę." — „Cóż to takiego?" — wyrzekła z ciekawością. „Nie jestże to dziwną rzeczą, „widzieć takiego maleńkiego człowieczka, jak ja, „na kolanach tak wielkiéj Monarchini." — Uściskała mnie z uniesieniem za te słowa; a ściągając z serdecznego palca kosztowny pierścień, darować mi go chciała. — Lecz pierścień okazał się ogromny na moję rękę, zawołała więc z drugiego pokoju ślicznéj pięcioletniéj panienki, a zdjąwszy z jéj paluszka dyamentowy pierścionek, dała mi go. Ta panienka jest dziś królową francuzką, *) a ja ten pierścionek jeszcze noszę.

inne gry i zabawy; a we wszystkich był bardzo zręczny. Ubierała go jako porucznika wielkiéj buławy, (tak zwał się regiment jeden ówczesnego wojska polskiego) chodził zawsze przy pałaszu. Tak późniéj pokazywał się za granicą i w tym ubiorze jest malowany w muzeum królewskiém w Londynie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Będęż ja szczęśliwy.

*Do ****

Gdybyś się ty była
O moja kochana!
Różą urodziła
Majowego rana;
I zaćmiła wdzięki
Rumianéj jutrzenki;
W hołd twojéj urodzie, nuciłbym pochwały;
I byłbym szczęśliwy, szczęśliwy — Maj cały.
A gdybyś się była
O moja kochana!
Słowikiem rodziła
Wiosennego rana;
I zgłuszyła tony
Cherubina strony;
Słuchałbym, wielbiłbym twe pieśni miłośne;
I byłbym szczęśliwy, szczęśliwy — przez wiosnę.
Lecz gdy z bożéj ręki
O! lube stworzenie!
Wzięłaś róży wdzięki,
I słowika pienie;
Słodycz, dobroć, zgoła
Przymioty anioła;
Już ja ciebie muszę kochać, pókim żywy,
Lecz będęż na wieki, na wieki szczęśliwy?...

J. N. J.

*) Marya Antonia, tyle wsławiona wdziękami i nieszczęściem.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)